

MIROSLAW MELANIUK

ur. 1955



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin ; PRL ; ulica Chodźki ; ulica Unicka ; Akademia Medyczna w Lublinie ; wykładowcy akademicki ; wykładowcy Akademii Medycznej w Lublinie ; akademicy Akademii Medycznej ; specjalizacja medyczna ; kabaret Loża 44 ; kabaret Bez etatu ; życie kulturalne ; środowisko kabaretowe ; Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN ; Lubelski Lipiec (1980) ; stan wojenny (1981-1983) ; SB ; Służba Bezpieczeństwa ; SZSP ; Socjalistyczny Związek Studentów Polskich ; cenzura ; Radio Lublin ; TVP Kraków ; Lidzbarskie Biesiady Humoru i Satyry ; Spotkania z Balladą (program satyryczny) ; Fragment większej całości (program kabaretu Loża 44) ; Rozpuszczalnik (program kabaretu Loża 44) ; Billewicz-Stankiewicz, Jarosław (1911-1995) ; Bobrowski, Michał (1927-2012) ; Kleinrok, Zdzisław (1928-2002) ; Maiński, Andrzej ; Rogalski, Jerzy (1948-) ; Stelmasiak, Mieczysław (1909-1982) ; Szymański, Irosław (1946-) ; Tarkowski, Janusz

1. W 1975 roku zostałem członkiem kabaretu „Loża 44”

Zaczął się od imprezy w domu, w którym mieszkałem na stacji. syn właścicieli – Jurek Niedzielski, był w Loży[44] od początku i był dosyć zaangażowanym artystą, a ponieważ ja byłem klawiszowcem, Jurek zaproponował mi: „Może być poszedł ze mną do Loży, bo akurat człowiek, który grał na akordeonie musiał zrezygnować. Może byś się nadał” Akordeon nie był moim podstawowym instrumentem, ale rozróżniałem czarne, białe [klawisze] i basy. To było pod koniec pierwszego roku moich studiów, czyli w [19]75 roku, gdzieś tak w czerwcu, w zasadzie to już był koniec roku akademickiego. [Jurek Niedzielski] zaprowadził mnie, tak po prostu na [spotkanie] – to nie była nawet próba, to było takie przedwakacyjne zebranie Loży, ze względu na to, że tam były omawiane jakieś tam plany na przyszłość. Wszedł, przedstawił mnie i w ten sposób zostałem członkiem zespołu. Z tym, że ja nigdy wcześniej się nie zetknąłem z tym zespołem i tymi ludźmi, z tym rodzajem twórczości, która była tam wtedy wykonywana. Już po wakacjach, będąc na drugim roku studiów dalej mieszkałem w tym samym domu i Jurek, jako syn właścicieli, oczywiście też tam mieszkał. poszliśmy na pierwszą próbę i to wtedy właśnie usłyszałem po raz pierwszy jak to wszystko wygląda. To były dla mnie rzeczy zupełnie inne, niż sobie

wyobrażałem, to prawda. Dali mi ten akordeon i Irek Szymański mówi: „Wiesz, podgrywaj” Nie bardzo wiedziałem, co to znaczy „podgrywaj” Nie miałem żadnych taśm, o nutach to już w ogóle nie było mowy, ponieważ myśmy w ogóle nut nie używali. U nas się grało tak na słuch. To podgrywanie tak mi nie bardzo leżało, zwłaszcza na akordeonie, w którym rzeczywiście biegły nie byłem. I w efekcie chyba obaj z Irkiem wpadliśmy na ten sam pomysł – że ja nie będę się męczył, a on też nie będzie się katował, bo to nie o to chodzi. Wtedy zespół dzielił się na tych członków, którzy występowali na scenie, czyli mówili i śpiewali, i na kapelę. Tak się to wtedy nazywało. I ja chciałem zawsze w tej kapeli grać na klawiszach, ponieważ wiedziałem, że tam są organy, a ja akurat grałem na fortepianie. W szkole średniej grałem trochę w takim zespole, jak to zawsze w szkole średniej – trzeba było coś robić oprócz nauki, więc prostu na tych organach tam zacząłem grać. Ale to dopiero dwóch latach, czy po półtora roku, dlatego, że [w zespole] był jeszcze kolega Andrzej Maiński, którzy już niestety nie żyje, a który był rzeczywiście dosyć dobrym muzykiem.

Wtedy ja zająłem się, że tak powiem, oprawą techniczną, czyli generalnie rzecz biorąc: wynieś, przynieś, pozamiataj. Rozwieś plakaty, sprzedaj bilety na koncerty, zabezpiecz wejścia, wyjścia. Ale w tym wszystkim podobała mi się ta atmosfera. W międzyczasie oczywiście osłuchalem się z tą całą sytuacją, całą tą, powiedzmy sobie otoczką, która była w trakcie prób i po próbach. I w czasie pięciolecia, kiedy to był przygotowywany szereg koncertów, Jędrzek Maiński powiedział, że on już kończy działalność, jeszcze zagra to, co grał wcześniej, ale nową premierę, to już ja będę grać. W międzyczasie władze Akademii Medycznej, które wtedy nam dosyć sprzyjały, zakupiły nam nowy sprzęt w postaci takich bardziej nowoczesnych organów. Dwie klawiatury i jeszcze manual na nogi tak, że już w ogóle już full wypas. Wtedy rzeczywiście te próby trwały dosyć długo, ponieważ Irek Szymański był perfekcjonistą i w zasadzie jak czegoś nie było, coś było źle dobrane, czy źle powiedziane, to po prostu dotąd to ćwiczyliśmy, aż zaczęło wychodzić. Ale, jak mówiłem, myśmy w ogóle żadnych nut nie używali. Po prostu Irek przychodził, siadał, rozkładał ten swój maszynopis: „O, to taką piosenkę tu napisałem” i grał na gitarze, śpiewał. Potem myśmy po prostu słuchali i każdy próbował w jakiś sposób to zagrać, dopóki ta melodia nie wpadła w ucho na tyle, że można już było wykonać jakieś wariacje na temat tego utworu, tej linii melodycznej. Oczywiście to było tak, że w zasadzie nigdy dwa razy nie grało się tak samo, bo w miarę upływu czasu, w miarę jak to się powtarzało po raz enty, to człowiek jeszcze coś tam od siebie dodawał. Czasami to było dobre, czasami to było złe, ale generalnie mieliśmy ogromną dowolność w interpretowaniu utworu.

2. Strona muzyczna kabaretu „Loża 44”

Ja od razu na samym początku zrozumiałem, że chodzi jedynie o akompaniament po to, żeby publiczność mogła dokładnie odebrać i usłyszeć słowa. Bo to słowa były

najważniejsze. I to nie była prosta rzecz, ponieważ Irek wtedy pisał aluzyjnie, czasy były takie, że była cenzura, były próby cenzorskie, więc to trzeba było w jakiś sposób omijać. Oczywiście, muzyki nikt się nie czepiał, muzyka to jest sprawa absolutnie drugorzędna, natomiast chodziło o te słowa. I nam też o to właśnie chodziło, żeby te słowa brzmiały, a my mieliśmy tylko po prostu zrobić ten podkład, zaakcentować, że to się właśnie dzieje. Mi to się właśnie spodobało, że tutaj nie trzeba było być jakimś wirtuozem, że nie chodziło o jakieś własne interpretacje, tylko o w miarę spójny podkład. Podstawowy skład w kapeli to był właśnie Irek Szymański, który grał na gitarze rytmicznej, ja grałem na organach i kolega, który grał na gitarze basowej. Przychodzili ludzie, którzy byli, powiedziałbym, niezłymi grajkami, a nawet bardzo dobrymi, jeżeli chodzi o gitarę basową. Był też jeden, nie pamiętam imienia, który dusił się w tych ograniczeniach, chciał jakieś frazy na tym basie wydobyć, a tu, niestety trzeba było go uciszać, żeby był ten tekst słyszany.

3. Scenografia i kostiumy

Generalnie rzecz biorąc, w czasie występów graliśmy totalnie po ciemku. Siedzieliśmy za kulisami, a tam była totalna, czarna dziura. Kulisy w ogóle woziliśmy ze sobą, żeby było śmieszniej. I dwa podesty też. Bo jak się jeździło z tymi koncertami po różnych ośrodkach bądź to akademickich, bądź innych, to Irek chciał, żeby ta scenografia była jego autorstwa. Bo w zasadzie to on wszystko to robił. Pisał teksty, pisał muzykę, śpiewał –choć on chyba też nut nie znał, bo generalnie zapisu nutowego nie było żadnego. Za kulisami panowała totalna ciemność, ale oczywiście instrumenty elektroniczne mają to do siebie, że palą się te lampki kontrolne, a więc [oświetlenie] było jedynie takie. Dlatego mnie też chodziło o to, żeby na tyle się nauczyć grać te wszystkie piosenki, pieśni, songi, czy jak tam je zwał, żeby po ciemku nie wpakować się na jakąś minę i nie nadepnąć klawisza, którego się nie powinno w ogóle dotykać. Te organy miały jeszcze oczywiście różne możliwości zmiany barwy dźwięku, modulacji, jakieś dodatkowe efekty, typu trzaski, syczenie, czyli takie, powiedzmy sobie, dosyć specyficzne [dźwięki]. Ale Irek widział je w takich lżejszych utworach, gdzie można było pozwolić sobie na jakieś takie dodatkowe efekty dźwiękowe, które w sumie fajnie brzmiały. To dopiero można było usłyszeć jak robiliśmy nagrania dla Telewizji Polskiej, bo muzykę nagrywaliśmy w studiu w Lublinie. Jak ja przyszedłem do Łoży, to oprócz Irka Szymańskiego, który był kierownikiem artystycznym, i takim całym naszym guru, był jeszcze tak zwany kierownik administracyjny. To był Janusz Tarkowski. On zajmował się takimi prozaicznymi rzeczami jak na przykład zdobywanie funduszy. Swoją siedzibę mieliśmy tutaj na ulicy Chodźki w Lublinie, w akademiku męskim. To było chyba Chodźki 9, już nie pamiętam. W każdym bądź razie pod nami w piwnicy był Klub Medyk, a myśmy nad Medykiem na parterze mieli takie pomieszczenie, gdzie były składane te wszystkie rzeczy –stały te kulisy, były skrzynie z przeróżnymi rekwizytami, ponieważ w trakcie tych paru lat to nam się nzbierało różnych rzeczy,

kostiumów. Wcześniej kostiumy były nawet szyte, bo były też takie spektakle, gdzie po prostu musieliśmy się przebrać a to za ducha, a to na przykład za jakiegoś ułana. To wszystko było chowane w tych skrzyniach. Pamiętam, że jedno takie pomieszczenie piwniczne było przeznaczone na te wszelkie rzeczy, których mogło się używać od czasu do czasu.

4. Byłem od strony techniczno-finansowej

Właśnie wtedy, jak kolega kierownik Tarkowski odszedł, Irek powierzył mnie tę funkcję. Ja już wtedy mieszkałem w akademikach na Chodźki, więc miałem, że tak powiem, oko na całe to przedsięwzięcie. Oczywiście ja też miałem klucz, którym zawsze musiałem otworzyć [salę] na próbę, a potem, jako ostatni, ją zamknąć. Musiałem się czasami pohandryczyć z kolegami z SZSP [Socjalistyczny Związek Studentów Polskich], ponieważ to wszystko było pod egidą [związku], więc kwestia wyjazdu na jakiś kabaret, to była właściwie kwestia tego, że trzeba było autokar pożyczyć. Był taki autokar Akademii Medycznej, ale ktoś też musiał za to zapłacić. Nie zawsze tak było, że organizatorzy płacili. Organizatorzy właściwie płacili raczej za pobyt tam na miejscu, a myśmy natomiast musieli płacić za dojazd. A jako, że my występowaliśmy pod egidą SZSP jako kabaret studencki, więc siłą rzeczy trzeba było pójść do przewodniczącego rady uczelnianej, powiedzieć, że jedziemy tam i tam, trzeba tyle i tyle kasy, bo autokar, bo to, bo tamto. I w ten sposób to wszystko się jakoś układało. Przynajmniej dla mnie było o tyle dobrze, że akurat kolega z grupy, przyjaciel był tym przewodniczącym rady uczelnianej, więc po prostu jakoś łatwiej to przychodziło. Niemniej jednak, to nie tylko przewodniczący rady uczelnianej [decydował], ale i komisja kultury miała tam dużo do powiedzenia, tak to właśnie wyglądało. Tak, że jednocześnie przez dwa, czy trzy lata byłem takim właśnie pomagierem od tej strony, nazwijmy to, techniczno-finansowej. To było w sumie bardzo ciekawe życie. Oczywiście, same wyjazdy też i te różne miejsca – Białystok, Zakopane, Kraków, ale przede wszystkim towarzystwo, które się tam zbierało było na pewno nietuzinkowe. Było na pewno nietuzinkowe i człowiek wiele na tym skorzystał, wiele się nauczył. To były też różne sytuacje życiowe. Część kolegów już pracowała, mieli żony, dzieci, nikt się z niczym specjalnie nie krył i jak przychodził wkurzony, to wiadomo, że coś się stało. A tutaj się odprężał.

5. Próba to była rzecz święta

Próby odbywały się zawsze właśnie tam, w siedzibie Łoży na Chodźki w tym naszym pomieszczeniu. Pomieszczenie było wyklejone takimi płytkami – to nie były wytłaczanki po jajkach, tylko jakieś inne płytki, które wygłuszały dźwięki. Odbywały się coraz częściej w miarę tego, jak się zbliżał termin występu, czy już, nie daj Boże, premiery. Wtedy to nawet przez tydzień codziennie. Ewentualnie, jeżeli Irek miał dyżur, to w te dni, kiedy nie miał dyżuru. Ale zwykle on tak ustawiał też pracę, żeby jednak do perfekcji doprowadzić całe to przedsięwzięcie. Natomiast, oczywiście,

próby też były w sali, gdzie te występy się odbywały. Początkowo występy odbywały się w Studium Wojskowym Akademii Medycznej, które się mieściło w obecnym Centrum Kultury na Peowiaków. Tam były wydzielone pomieszczenia, gdzie mieściło się Studium Wojskowe. Studium posiadało tam jedną salę, w której nawet była scena, a za sceną jeszcze zaplecze, co akurat idealnie nam pasowało. I tam właśnie odbywały się występy, tam odbywały się premiery naszych spektakli. Wtedy oczywiście była wielka gala, rozwieszaliśmy plakaty po całym mieście, drukowaliśmy też zaproszenia dla władz miasta, województwa, dla władz uczelni. Oczywiście pan rektor był wiernym naszym fanem i słuchaczem. Zawsze, na każdą premierę przychodził z żoną i zawsze wręczał kwiaty. Tak, że generalnie to były takie fajne momenty. Zwłaszcza jak już zacząłem grać w kapeli tak naprawdę, czyli jak już było pięciolecie Łoży. To był taki moment przejścia, Jędrrek Maiński grał to, co było wcześniej, potem był tak zwany „Rozpuszczalnik” czyli teksty mówione, wiersze, piosenki z wcześniejszych spektakli, to graliśmy na zmianę, trochę on, trochę ja. A potem, na końcu była premiera nowego spektaklu i to już ja w całości musiałem ogarnąć. To wszystko, te próby trwało dosyć długo. Przygotowaliśmy się ładnych parę miesięcy i, muszę powiedzieć, że ja osobiście podziwiałem moich starszych kolegów, którzy mieli domy, mieli dzieci, mieli pracę, a mimo wszystko rzadko kiedy się zdarzało, że nie było ich na próbie. Próba to była rzecz święta. Byli i już. I jeszcze jedno, co do tej pory wielu kolegom i koleżankom wydaje się dziwne. Było zero tolerancji, jeżeli chodzi o alkohol. Na próbę przychodziło się kompletnie trzeźwym, ale to absolutnie. Żadnego piwka, żadnych takich tych rzeczy, nic. To było bezwzględnie, bezwzględnie przestrzegane. Po prostu nie można było i już. I wszyscy o tym wiedzieli. A już na występach to w ogóle nawet mowy nie było, wtedy to już była prohibicja totalna.

6. Próby cenzorskie

Po przeczytaniu tekstu na sucho [cenzorzy] umawiali się z nami na próby. To była tak zwana próba cenzorska. Czyli, generalnie rzecz biorąc, albo cenzor przychodził do nas tam do naszego pomieszczenia [na Chodźki], albo robił to już na sali. Ale raczej tutaj w tym pomieszczeniu. Po prostu, cenzor też był człowiekiem. Akurat ja pamiętam, że to była pani. Pani, z którą chyba Irek jakoś był nawet zakolegowany, można by tak powiedzieć. Ona zwykle po obejrzeniu, wysłuchaniu potem sobie siadała z nim i już ustalali, co wolno, a czego nie można. Chociaż spektakle też na pewno były rejestrowane, bo zwykle na tym rzecz polegała, ale generalnie jakichś większych problemów nie było. Ja nie przypominam sobie, żeby Irek z tego powodu miał jakieś problemy. Być może miał, ale nie mówił nam o tym.

7. Próba inwigilacji środowiska „Łoży 44” przez Służbę Bezpieczeństwa

Ja natomiast w związku z tą działalnością w Łoży raz zetknąłem się ze Służbą Bezpieczeństwa. Wtedy tak to się nazywało. Byliśmy w Krakowie, był tam jakiś

kabareton i to wszystko zbiegło się w czasie z tymi juwenaliami krakowskimi. Wtedy też było zabójstwo [Stanisława] Pyjasa. I właśnie w tym czasie byliśmy i graliśmy w Krakowie. Pamiętam, któregoś dnia wróciłem po zajęciach do domu, na stancję, a moja gospodyni, która zwykle o tej porze już dawno spała, tym razem siedziała i czekała na mnie. I mówi, że był tu jakiś mój kolega, powiedział, że jest z rady uczelnianej SZSP i przyjdzie jutro o któreś tam godzinie. Pytam, jak się nazywa? Nie powiedział, jak się nazywa. Trochę to było dziwne, ponieważ akurat wszystkich kolegów [z rady uczelnianej SZSP] znałem. Następnego dnia przyszedł pan, trochę starszy ode mnie i, żeby było śmieszniej to jeszcze z małym dzieckiem za rękę, z dziewczynką. Oczywiście powiedział, że on by chciał ze mną porozmawiać, a ponieważ ściany mają uszy, tu się tak rozglądał dookoła, to może tu wyjdziemy się przespacerować tam wzdłuż ulicy. Teraz jak sobie przypominam, to wyglądało to bardzo komicznie, ale wtedy to tak nie bardzo było mi do śmiechu, bo tak właściwie diabli wiedzą, co z tego dalej będzie. Jak już zaczął wymieniać imię matki, imię ojca, imię mojej siostry, gdzie rodzice pracują, co robią i te wszystkie rzeczy, to już wiedziałem, że to jest gość z SB, który właśnie wziął mnie tutaj, nie wiem –za obiekt do rozpracowania, czy chciał zrobić ze mnie informatora? W każdym bądź razie, oczywiście zaczął wypytywać. Mówi, że on wie, że to Loża 44, że właśnie w tym czasie byliśmy w Krakowie, jak ten pijak spadł z tych schodów i się zabił, a tu teraz [mówią], że to milicja go zabiła. Rzeczywiście taka była wtedy ogólna wiedza społeczeństwa na ten temat, [że to był wypadek], bo media tak to przedstawiały. A chłopak został zabity z powodu takich, a nie innych przynależności. Wtedy już były czynione takie antypaństwowe, antyrządowe, antykomunistyczne ruchy. W końcu zaproponował, żebyśmy przeszliśmy na ty, bo przecież nie jest taki znowu stary. Oczywiście podał uniwersalne imię Marian, wtedy mi się wydawało, że wszyscy esbecy [mają na imię] Marian. I w zasadzie to by się tak skończyło, gdyby nie to, że [spotkałem go] będąc już lekarzem, asystentem Kliniki Chirurgii Naczyniowej. W którymś momencie mój szef został rektorem czy prorektorem do spraw młodzieży. Siedzieliśmy kiedyś rano po odprawie w naszym gabinecie, z którego były drzwi i przechodziło się do gabinetu szefa. Więc każdy, kto chciał wejść do szefa, musiał przejść przez ten gabinet, w którym myśmy siedzieli. Siedzieli, mieszkali, pracowali, dyżurowali, wszystko w jednym. Jeszcze sekretariat kliniki tu się mieścił. Taka po prostu uniwersalna kłitka. I w pewnym momencie patrzę, wchodzi facet, tenże właśnie Marian, z jakimś takim drugim. Wchodzi i mówi, że on tu do pana rektora. Jak się potem okazało, awansował i po tych paru latach już był „aniołem stróżem” na Akademii Medycznej. W ten sposób spotkałem się z tym panem jeszcze raz, ale wtedy miałem brodę, więc nie wiem czy on mnie poznał, a nawet jak poznał, to udawał, że mnie nie zna. W każdym bądź razie nie zamieniliśmy już więcej ze sobą ani słowa. I tak się czasami zastanawiam, czy on dzięki temu, że tam był u mnie, nie założył mi jakiejś teczki osobowej, jako źródłu informacji. Nie wiem, ale nawet nie chce mi się pytać w IPN-ie, czy tak rzeczywiście było, czy nie. W każdym bądź razie

był też i taki [efekt] tej mojej działalności.

8. Sytuacja „Łoży 44” w czasie stanu wojennego

Wtedy myśmy już dosyć rzadko się spotykali. Po prostu godzina policyjna powodowała, że nie można było za długo tych prób ciągnąć, poza tym to już było trochę inaczej, bo to wszystko było zawieszane. Więc siłą rzeczy nie robiliśmy nic takiego ekstra, nie przypominam sobie raczej nic takiego. Dopiero później jak już się stan wojenny skończył, to spotkaliśmy się jeszcze parę razy. To była właśnie kwestia nagrań dla ośrodka telewizji w Krakowie, tam jeszcze razem jeździliśmy, ale to już w zasadzie był naturalny koniec tej działalności. W efekcie chłopcy byli bardziej zaangażowani właśnie w „Spotkania z Balladą” Oczywiście Irek wtedy firmował to, pisał dla nich teksty i to szło pod szyldem Łoży 44, ale to było już tylko dwóch, czasami trzech kolegów, natomiast cały zespół jako taki już nie funkcjonował. Już nie działaliśmy w ten sposób i tak to się jakoś w sumie skończyło.

9. Współpraca z Telewizją Kraków

To też była śmieszna historia. Myśmy nagrywali muzykę [do „Spotkań z Balladą] tutaj w radiu Lublin, gdzie było udostępnione studio, była sala nagrań, więc oni jechali tu [z Krakowa] z własnymi instrumentami. A redaktor Bobrowski, który firmował wtedy w telewizji Kraków te „Spotkania z Balladą” a wcześniej jeszcze oglądał nasze spektakle w Krakowie i chyba w Zakopanem, zakontraktował dla nas wtedy jeden spektakl nagrany w całości dla telewizji Kraków. Jak mówiłem, muzykę nagrywaliśmy tutaj, a on jeszcze chciał do tej naszej muzyki dołączyć parę innych instrumentów. Ale do tego potrzebne były nuty, a nut nie było. Jedynie nasza koleżanka skrzypaczka, Danusia Gwarnicka, jako jedyna spośród nas była prawie profesjonalistką, jeżeli chodzi o wykształcenie muzyczne, ponieważ poza tym, że studiowała medycynę, to jednocześnie uczyła się w średniej szkole muzycznej w klasie skrzypiec. A ponieważ chodziła do tej średniej szkoły muzycznej, musiała znać te kropy. Więc Irek zadał jej po prostu takie zadanie domowe, że ma te nasze utwory rozpisać na nuty dla gości z Krakowa, którzy mają jeszcze tworzyć jakieś tam tło, które ma współbrzmieć z tym, co myśmy ponagrywali na potrzeby tej telewizji. Ponoć to, [co nagraliśmy], to było trochę mało, więc po prostu jeszcze parę instrumentów miało grać, a że ci muzycy musieli z czegoś się uczyć, więc uczyli się z tych nut. Tak to wyglądało. To chyba był jedyny zapis nutowy, jaki w ogóle się ukazał, jeżeli chodzi o tę działalność. Natomiast, jak mówię, myśmy wszyscy uczyli się ze słuchu. Irek brzdąkał, a my dotąd słuchaliśmy, aż nam to tak wpadło w ucho, że już mogliśmy w każdej chwili zacząć grać akurat od konkretnego momentu. Bo różne rzeczy [się zdarzały] i czasem przerywało się, bo na przykład tak wynikało ze scenariusza, a potem trzeba było wskoczyć i odegrać.

10. Druk plakatów na występy kabaretu „Łoża 44”

Oczywiście projekty plakatów robił Irek Szymański i oczywiście to też musiała cenzura zatwierdzić. Jak już zatwierdziła, wtedy po prostu szliśmy do drukarni, która się mieściła dosłownie naprzeciwko budynku – wtedy, za naszych czasów, czyli jak myśmy studiowali – Zakładu Mikrobiologii Lekarskiej. Jak się kończyła Lubartowska, na rogu po prawej stronie był taki pałacyk, przed wojną to była Jesziwa, słynna Jesziwa Lubelska. I naprzeciwko niej, po drugiej stronie ulicy, która dochodziła tutaj do końca ulicy Lubartowskiej, były Lubelskie Zakłady Graficzne. O, przy ulicy Unickiej. I myśmy w tych zakładach po prostu drukowali plakaty, najnormalniej w świecie. Oczywiście, jak już cenzura zatwierdziła wzór, to wtedy się zamawiało, nie wiem – sto czy dwieście plakatów. Czy tysiąc – to w zależności od tego, ile pieniędzy można było wydobyć od kolegów z SZSP, bo za to trzeba było po prostu zapłacić.

11. To nie było tak, że kawa na ławę

Z SZSP to była, jak to mówią, szorstka przyjaźń. Dopóki to nie był kabaret polityczny, to tam w miarę to wszystko jakoś wyglądało. Ale kiedyś ten kolega przewodniczący powiedział mi, że za dużo w tym polityki, że to już nie jest żart. A przecież to nie było tak, że to była kawa na ławę. To było wszystko genialnie zawołowane. Uważam, że parę tekstów, które Irek napisał jest uniwersalnych, one pasują na przykład do dzisiejszych czasów. I obawiam się, że gdyby w tej chwili ktoś poszedł [z którymś z jego tekstów] do telewizji TVP1 i powiedział: „Słuchajcie, mam taki tekst i chcę to wyśpiewać” to byłby wywalony. Dlatego, że po prostu to były teksty absolutnie genialnie uniwersalne. Może nie wszystkie, ale parę takich naprawdę było. Ja na przykład, ponieważ jeszcze oprócz tego wszystkiego trochę żegluję, więc czasami [spotykam się] z zupełnie innymi ludźmi, nie pochodzącymi stąd, nieznanymi [Loży 44]. Więc, jak im zaśpiewałem parę rzeczy, to przecierali oczy, że coś takiego w ogóle wtedy przechodziło, że to napisał nie profesjonalista, tylko lekarz i że to w zasadzie była amatorszczyzna. Po prostu to idealnie trafiało w te czasy. A naprawdę, kilka tekstów jest takich, że w każdej chwili, w każdym systemie, w każdym ustroju można to odtworzyć, można to zaśpiewać. To miało i ma nadal bardzo uniwersalny charakter. I powiem tak – każdy z nich był moim ulubionym z bardzo prostej przyczyny. Ja się doskonale w tym czułem, jak już w to wszedłem tak naprawdę i po prostu nie mogę powiedzieć, że ten był lepszy, ten był gorszy, ten bardziej lubię, ten mniej. Dla mnie każdy z tych spektakli to było coś fajnego, coś takiego, z czym po prostu każdy normalny człowiek w tym czasie musiał się zgodzić. Każdy myślący, czyli każdy, który nie miał, jak to Irek napisał, rozumu przykrytego czerwonym kapturkiem, tylko po prostu najnormalniej w świecie wiedział, co się dzieje. Owszem jedne utwory pewnie sobie bardziej ceniłem, drugie mniej. To nie była kwestia strony technicznej, dla mnie zawsze większą, największą wartością były słowa, które zawarte były w tych tekstach. I to bardziej takie, które dotyczyły życia. To były [teksty] dosyć mocne, a przy tym prawdziwe. I to było fajne. Do tej pory „Żywe szachy” czy „Korowód” to dla mnie takie perełki, które po prostu można w każdej okoliczności, w

każdym systemie, w każdym stroju zaśpiewać i zawsze to będzie aktualne.

12. Mój pierwszy program

Tego właśnie dokładnie nie pamiętam, czy mój pierwszy program to był „Wyrobisko” czy „Rozpuszczalnik” bo one nastąpiły tak jeden po drugim. W każdym bądź razie to na pięciolecie [wystąpiłem] po raz pierwszy. Był też taki program, który nazywał się „Fragment Większej Całości” I to już był schyłek epoki Gierka, czyli generalnie chory optymizm się skończył, skończyły się pełne półki i skończyło się wiele fajnych rzeczy. W związku z tym też adekwatna do tego była treść tych naszych dokonań. Przecież Irek, który mieszkał tu, żył i pracował, miał taki sam ogląd sytuacji, jak my wszyscy.

13. Występy i publiczność „Łoży 44”

Mieliśmy swoją, że tak powiem, publiczność żelazną, która zawsze przychodziła i przyciągała ze sobą też jeszcze innych, którzy słyszeli, że coś takiego jest, że biletów nie można dostać, że trzeba po znajomości załatwiać. My mieliśmy rzeczywiście dosyć duże grono fanów. W zasadzie od młodzieży i młodzieży licealnej, po pana rektora i podobnych mu wiekiem, powiedzmy sobie, stałych bywalców. Trochę też było wśród nich ludzi z mediów. Wtedy, jak wiadomo media były, jakie były, niemniej jednak przychodzili chociażby po to, żeby po prostu się pobawić. Generalnie zawsze graliśmy przy [pełnej sali], ponieważ graliśmy rzadko, aż niektórzy czynili nam zarzuty, że w Lublinie gramy za rzadko. Ale myśmy nie mieli swojej sali, a z kolei wypożyczanie tego pomieszczenia w Studium Wojskowym wiązało się z tym, że musieliśmy najpierw sami powynosić stoły, ławki i różne rzeczy, potem ustawić te krzeselka w rzędy, żeby z salki, gdzie uczyliśmy się na żołnierzy zrobić salę widowiskową. Zwykle to był piątek wieczór. Potem sobota wieczór, niedziela wieczór, a jak już ostatni widz wyszedł, to myśmy wtedy musieli to wszystko ładnie posprzątać i z powrotem odtworzyć, bo o 7:30 następnego dnia w poniedziałek rano już się tam zaczynały normalne zajęcia. Nie mieliśmy żadnych innych możliwości, sami musieliśmy to wszystko robić. Tak samo sprzęt –zapakować, wywieźć z powrotem na Chodźki, co też wiązało się z kwestią taką, że trzeba było z kolei [pożyczyć] samochód dostawczy Akademii Medycznej, którym to przewoziliśmy. Tak, że to wszystko targało się na własnych plecach. Oczywiście, nie było artystów większych czy mniejszych, to wszystko zależało od charakteru człowieka. Jeden bardziej się garnał do pracy, drugi mniej, niemniej jednak tak, czy owak, wspólnymi siłami trzeba to było wszystko spakować i wynieść.

14. To byli świetni ludzie - naturszczycy, którzy grali swoje role

Ci nasi amatorzy, którzy występowali razem z [aktorami] na deskach, niczym się nie różnili od tych zawodowców. Nawet w kwestii dykcji, ja patrząc z boku, zza kulis nie widziałem w sumie żadnej różnicy. To byli naprawdę bardzo zdolni ludzie, naturszczycy, którzy świetnie grali swoje role. Zresztą Irek jeszcze potrafił ich dobrać

choćby pod względem fizjonomii. Taka też była konwencja, że zawsze był taki jeden mądrała, który wszystko wiedział, był taki drugi i taki trzeci, który w zasadzie dopiero się uczył wszystkiego i tak dziwował się, że to tak jest, a nie inaczej i dlaczego to tak jest. A teksty były bardzo nośne, bardzo takie na czasie i dające bardzo dużo do myślenia. Jak spektakl trwał, to Irek cały czas podkreślał tempo, to nie mogło się wlec, to musiało iść. Tak, że między innymi też my, jako kapela, musieliśmy [tego przestrzegać], że kończy się ostatnia sylaba, a my już wchodzimy z muzyką, bo akurat jest czas na jakąś piosenkę. Ja także się łapałem na tym, że po iluś tam próbach już znam wszystkie teksty mówione na pamięć, wszystkie piosenki na pamięć i już wiem, w którym momencie, co [nastąpi] tak, że po ciemku można było zacząć grać. I właśnie o to, między innymi, Irkowi chodziło w tych ciągłych próbach, które były już często tak [nużące], że każdy praktycznie już rzygał tą próbą, a tu jeszcze jutro próba, jeszcze jedna próba i jeszcze jedna i tak w kółko.

15. Legendy i anegdoty

Ja zapamiętałem najbardziej taką [historię], kiedy na którymś ze spektakli trzeba było wystrzelić z korkowca. Tak, jak mówiłem, za kulisami było ciemno, nic nie było widać. Kolega, który był odpowiedzialny za ten strzał z korkowca na wszelki wypadek zawsze miał dwa. Tu na scenie idzie akcja i oczywiście ani jeden, ani drugi nie wystrzelił, więc w pewnym momencie kolega po prostu [krzyknął]: „Puf” Tak było raz, ale był i drugi raz z tymi strzałami. Ponieważ te korkowce były zawodne, więc czasami kolega stawiał ten korek na czymś twardym, walił młotkiem i on wtedy też strzelał. Ale ponieważ było ciemno, więc oczywiście kiedyś zdarzyło się, że nie trafił w żaden korek, tylko zaczął walić tym młotkiem w podłogę, więc tam tych strzałów było słycać kilka.

16. Na gościnnych występach

Same te wyjazdy, to były jak wyjazd na piknik. Pakowaliśmy się w ten autokar, pakowaliśmy wszystkie te rzeczy, te kulisy, te podesty, zabieraliśmy to wszystko ze sobą i jechał taki wesoły autobus. Rzeczywiście czasami w drodze zatrzymywaliśmy się na jakieś piwko, ale to tak naprawdę delikatnie. Na miejscu to już w ogóle zero alkoholu. Spotykaliśmy się na próbie i poza tym każdy się przygotowywał na swój sposób do występu. Czasami były jakieś fajne historie. A to kolega zasnął w hotelu i dopiero dzień później dojechał do Lublina, a ponieważ był taki szczupły, że w ogóle nie było go tam widać, to udało mu się przeleżeć nawet sprzątanie. Takie też były historie. To chyba było przy którychś „Spotkaniach z Balladą” Ale przede wszystkim to były takie fajne spotkania z innymi ludźmi, z innymi artystami. Czasami się człowiek łapał na tym, że kogoś na przykład widział w telewizji, a tu tak sobie swobodnie pogadujemy. Albo potem, po iluś tam latach okazuje się, że ktoś stał się gwiazdą, a pamięta się go ze „Spotkań z Balladą” Bywaliśmy w Krakowie, w Rotundzie tak rok po roku. A to znów otrzymywaliśmy zaproszenia, powiedzmy z

okazji jakichś juwenaliów w Białymstoku, czy w Łodzi. W Lidzbarku [Warmińskim] były [Lidzbarskie] Wieczory humoru i satyry. Tam też byliśmy z Lożą, ale chyba tylko raz. Niektórzy twierdzili, że Loża często wyjeżdżała i występowała częściej poza Lublinem niż w Lublinie, ale to nie do końca prawda. Chociaż parę takich wyjazdów było. Wtedy trzeba było oczywiście zerwać się z zajęć na uczelni, więc też często trzeba było załatwiać od rektora zwolnienia, żeby nauczyciel akademicki nie czynił wstrętów, jeżeli chciało się odrobić na przykład [zajęcia], co u nas na Akademii Medycznej było bardzo częstą rzeczą. Nie ma faceta na zajęciach, ponieważ pojechał gdzieś występować, a akurat w tym momencie wypadły mu ćwiczenia, powiedzmy z jakiejś tam fizjologii, czy innej chemii. Trzeba było wtedy z inną grupą, nie ze swoimi kolegami, zgłosić się na zajęcia i pokazać temu prowadzącemu, że się ma taki list, glejt od rektora. Najczęściej ci asystenci [zgadzali się] – skoro był taki glejt, zaliczali ćwiczenia i już. Ale bardzo często trzeba było przygotować się indywidualnie do zaliczenia. Tak, że były też takie drobne niedogodności. Natomiast jakiegoś większego problemu nie było, bo to wszystko odbywało się pod egidą SZSP.

17. Kabaret „Bez etatu”

Potem powstał na Akademii Medycznej kabaret „Bez etatu” tak to się nazywało. Ten kabaret „Bez etatu” stworzyło dwóch czy trzech chłopaków i to była taka kontra w stosunku do Loży, ponieważ im się wydawało, że Irek i ten kierownik techniczny, czyli w pewnym momencie ja, jesteśmy etatowymi pracownikami Akademii Medycznej. Irek oczywiście był etatowym pracownikiem, ponieważ on pracował w Klinice Ginekologii, natomiast ja jeszcze byłem studentem, całkiem po prostu. Więc oczywiście nikt z nas żadnych wynagrodzeń z tytułu [występów w Loży] nie miał, absolutnie. To była czysta amatorszczyzna i zabawa.

18. Wybór studiów medycznych

To wynikało z takiego mojego marzenia o tym, żeby zostać kapitanem dużego statku, takiego, który by pływał po morzach. I wszystko było fajnie dopóki w trzeciej klasie liceum nie zauważyłem, że mi siada wzrok. I to tak dosyć poważnie. Krótkowzroczność, dzięki której zostałem pozbawiony nawet możliwości ubiegania się o to. A mnie nie interesowały żadne inne opcje, ja chciałem być takim kapitanem, co stoi na mostku. W końcu pomyślałem, że skoro nie mogę pływać, jako kapitan statku, a na statkach pływają lekarze, więc może jak zostanę lekarzem, to też sobie trochę popływam. A ponieważ w międzyczasie zacząłem żeglować, to już mi to bycie kapitanem przeszło i pływanie na takich statkach wielkich też. Studia medyczne jednak skończyłem i w ten sposób zostałem lekarzem.

19. Wieś Jabłoń

Pochodzę z powiatu parczewskiego, konkretnie moja wieś nazywa się Jabłoń. Wieś

jest o tyle znana niektórym, że tam była siedziba rodu Zamoyskich. Pałac w Jabłoni do tej pory stoi, ktoś go kupił, ale zaczął remontować i jak zwykle nie wystarczyło pieniędzy, więc stoi i chyba znów jest do sprzedania. August Zamoyski znany przed wojną i po wojnie zresztą też, rzeźbiarz, w kręgach artystycznych był dosyć wysoko notowany. Generalnie rzecz biorąc, to był niewątpliwie obywatel numer jeden tej wsi. A ponieważ moja rodzina знаła jego czwartą i ostatnią żonę, która była Francuzką, więc ja też czasami tam spędzałem wakacje, czasami też siedziałem we Francji. [August Zamoyski] już wtedy nie żył, żona była o wiele młodsza od niego. W Parczewie, bo było najbliżej, ukończyłem liceum ogólnokształcące Tak, że jak w wieku piętnastu lat wyjechałem z domu, to już tak poza domem pozostałem. Studiowałem w Lublinie, a jak skończyłem studia, to nawet miałem dużą ochotę, żeby w ogóle wyjechać do Francji, ze względu na to, co tu było i jak było, bo to był rok [19]80. Ale przecież to też nie takie proste, żeby tak machnąć ręką, wyjechać i już.

20. Pierwszy rok studiów to była ciężka praca

Pierwszy rok studiów to była ciężka praca, dlatego, że był bardzo przeładowany zajęciami teoretycznymi. Więc ja z pierwszego roku zapamiętałem głównie wkuwanie anatomii. Tych zajęć było bardzo dużo, z dnia na dzień trzeba było się bardzo dużo nauczyć, różnych nazw, różnych rzeczy. I po polsku i po łacinie, więc to była po prostu taka niesamowita pamięciówka. To zajmowało dosyć dużo czasu, a asystenci bardzo rzetelnie nas odpytywali. Budynek, który do tej pory stoi na rogu I Armii Wojska Polskiego i Spokojnej i w tej chwili jest chyba przejęty przez KUL, bo ponoć przed wojną to był jakiś ich budynek dydaktyczny, mieścił wtedy Zakład Anatomii Prawidłowej Człowieka. Na pierwszym roku studiów tam spędzało się cztery dni w tygodniu, całe popołudnia. A rano przecież były jeszcze przeróżne inne zajęcia. W zasadzie zajęcia były od rana do wieczora i wieczorem dopiero można było zacząć się uczyć na następny dzień. Tak, że to była straszna praca. Nawet w soboty były zajęcia, przynajmniej do południa. fakt, że takie trochę luźniejsze, chyba z etyki i właśnie lektorat z języka łacińskiego. Tylko z tego nic nie wynikało i w zasadzie jak się człowiek tak teraz obejrzy za siebie na to wszystko, to ta energia i ten czas były wtedy przez nas po prostu tracone. Tempo nauki, wkuwanie tych wszystkich nazw różnych organów, kości, kawałków tego, czy tamtego, to wszystko mogło być spożytkowane całkiem inaczej. Chociażby na porządną naukę języka angielskiego. Natomiast taki był system nauki wtedy. Szef Zakładu Anatomii Prawidłowej, pan profesor Mieczysław Stelmasiak należał do takiego zacnego grona jeszcze tych takich starych, przedwojennych profesorów. On bardzo lubił od czasu do czasu wpadać na salę ćwiczeń i każdemu studentowi zadawać po jednym pytaniu, na które trzeba było odpowiadać błyskawicznie. W sumie to był dobrotliwy, starszy pan, który nikomu nie chciał krzywdy zrobić, a te jego rajdy po salach, gdzie siedzieli wystraszeni studenci pierwszego roku, miały na celu głównie mobilizację i kadry i studentów, a nie sprawdzanie wiedzy. Natomiast sprawdzanie wiedzy odbywało się

codziennie, bo asystenci rzeczywiście bardzo, bardzo poważnie do tego podchodzili. Generalnie jak już przeszedłem przez ten pierwszy rok i zdałem te wszystkie egzaminy, to rzeczywiście potem już nic nie było w stanie mnie przestraszyć, zadziwić, czy w jakiś sposób speszyć. Absolutnie. Potem studia już się normalnie toczyły, chociaż zajęć nadal było sporo. Na drugim roku tak samo. Godzinowo było nawet jeszcze więcej niż na pierwszym, ale człowiek już był tak otrzaskany w tym wszystkim, że w zasadzie już to po prostu szło, było jakoś luźniej.

Pogodzić próby z nauką właściwie było najprościej. Tutaj naprawdę nie było problemu, ponieważ próby były wieczorem, a zajęcia były w dzień. Trudno, czasami się człowiek czegoś nie nauczył, różnie bywało. Ale to nie znaczy, że byliśmy niedouczeni. Jakoś to szło, nie było obsuwy, jeżeli chodzi o studia. Egzaminy się zdawało normalnie. Zawsze znajdował się czas, kiedy trzeba było iść na próby, był czas, kiedy trzeba było przygotowywać te występy, a w międzyczasie się uczyło. A dzięki temu człowiek miał jednak zapełniony cały dzień i wieczór. I nieraz noc. I to wtedy po prostu było fajne, bo się człowiek nie nudził. Tak, że generalnie to wszystko można było pogodzić. Bez problemu.

21. Wykładowcy Akademii Medycznej

Z tej starej gwardii był profesor Rożenek, to był szef [Zakładu] Anatomii Patologicznej. Bardzo fajny starszy pan, który każdy swój wykład kończył slajdem z jakiejś Szwajcarii, Norwegii, bądź innej Szwecji, gdzie jeździł na wakacje. Pokazywał nam uroki Europy. Był profesor [Jarosław] Bilewicz-Stankiewicz, który z kolei chodził z dwoma psami. U niego egzamin z fizjologii wyglądał w ten sposób, że psy siedziały gdzieś koło niego i była taka legenda, że nie daj Boże, jak człowiek wejdzie, a ten pies warknie. To wiadomo już, że po prostu się popłynie i egzamin będzie niezaliczony. Nie wiem, na ile to była prawda. Mnie się udało jakoś to wszystko pozaliczyć bez problemu. Pan profesor [Zdzisław] Kleinrok, który był szefem Zakładu Farmakologii, gdzie rzeczywiście przez półtora semestru trzeba było nieźle wbijać tę farmakologię. Ale to on właśnie był tym naszym fanem, kiedy był rektorem. Przychodził ze swoją żoną na nasze wszystkie spektakle i siadał w pierwszych rzędach. To byli tacy ludzie, których nie powiem, że podziwiałem, bo w sumie oni wykonywali swój zawód taki, jaki mieli, natomiast byli dosyć oryginalni, po prostu. Tacy nietuzinkowi, inni niż wszyscy i dlatego ich pamiętam. Natomiast wiem, że tam nigdy nikomu nikt żadnej krzywdy nie robił. To była taka normalna uczelnia, z normalnymi ludźmi, mniej lub bardziej zaangażowanymi.

22. Pomysł na specjalizację

Pomysł na specjalizację wziął się właśnie z wyjazdu do Francji. W [19]78, bodajże, roku, już byłem wtedy po czwartym roku studiów, pojechałem do Heleny Zamoyskiej, która mieszkała na południu Francji koło Tuluzy. Ponieważ była profesorem sławistyki, na Uniwersytecie w Tuluzie, oczywiście miała bardzo szerokie kontakty i

znała również bardzo wielu profesorów z wydziału medycznego. Kiedyś mówi do mnie: „Mirek jak chcesz, to możemy tam zajechać, zobaczyć jak wyglądają te kliniki francuskie” Rzeczywiście, było parę takich wizyt, zupełnie prywatnych, aż jeden z jej znajomych mówi, że jak już tu jestem, to jeśli zechcę, mogę przyjść popatrzeć, jak oni tutaj pracują. Ponieważ na tyle dobrze władałem francuskim, że nie miałem problemów z komunikacją, zresztą język medyczny, jeżeli chodzi o nazewnictwo to w zasadzie praktycznie to samo, co łacina tylko inaczej się końcówkę wymawia, więc nie było problemu. W ten sposób zostałem studentem stażystą wakacyjnym w Klinice Chirurgii Serca, Naczyń i Klatki Piersiowej. Przez dwa i pół miesiąca dzień w dzień dostawałem od Heleny samochód, żeby z tej wsi, gdzie mieszkałem dojeżdżać do szpitala. O godzinie 9-tej zaczynały się operacje, ja się myłem do wszystkich operacji, na które pokazali mi palcem, że mam iść pomagać. To było też takie fajne towarzystwo, ludzie zupełnie na luzie, którzy jednocześnie wykonywali niesamowicie poważne operacje. To były operacje na otwartym sercu, ale operacje naczyniowe tak samo nie należą do najłatwiejszych. I tak jakoś po dwóch miesiącach tam spędzonych, jak wróciłem tutaj, to już praktycznie wiedziałem mniej więcej, co chcę robić. Tym bardziej, że w międzyczasie powstała Klinika Chirurgii Naczyniowej w Lublinie, więc w następnym roku znowu pojechałem do Francji, wtedy byłem już trzy miesiące i rzeczywiście sporo się nauczyłem.

Po skończeniu studiów najpierw poszedłem na staż podyplomowy, to był szpital Jana Bożego. Jak tam skończyłem stażowanie, to zostałem zaprotegowany przez mojego przyjaciela właśnie do szefa Kliniki Chirurgii Naczyniowej, pana profesora [Jerzego] Michalaka, znakomitego chirurga i bardzo fajnego człowieka. I tak zostałem chirurgiem naczyniowym. Z tym, że ja wiedziałem, jak to wygląda z tej lepszej strony, bo jednak ten skok cywilizacyjny między tym, co widziałem we Francji, a tym, co było tutaj wtedy, to był kosmos. W tej chwili to już nie ma żadnej różnicy. Teraz już wszystko jest dokładnie tak samo. Te same narzędzia, te same urządzenia, to samo wyposażenie sali. Ale wtedy to rzeczywiście był kosmos. Zresztą ci Francuzi sami mówili: „Mirek, ty to w zasadzie to u nas możesz zrobić wszystko, ale jak ja bym tam pojechał do ciebie, to bym siadł i płakał” U nas studia może bardziej teoretycznie przygotowują, natomiast u nich bardziej praktycznie. Bo moi rówieśnicy, którzy byli tam na stażu, to już sami jakieś niewielkie operacje robili. Ja, natomiast, dopiero się uczyłem szyć. Widać było tę różnicę, jeżeli chodzi o takie manualne przygotowanie do zawodu. Natomiast, jeśli chodzi o taką wiedzę teoretyczną, to biliśmy ich na głowę.

23. Rozrywka studencka

Ogólnie rzecz biorąc, to spora część osób chodziła do kina. Niewielka grupa do teatru i filharmonii, ale to naprawdę niewielka. Największa grupa chodziła na dyskoteki, które były wtedy już w zasadzie wszędzie. A tak poza tym to były zajęcia własne typu poker bądź brydż, bądź towarzyskie spotkania przy piwie. Słuchało się tam jakiejś

muzyki. Oczywiście, jak powstał Zespół Pieśni i Tańca to tam też część ludzi się zaangażowała, jak powstał chór, to część osób śpiewała. A, i ten kabaret „Bez etatu” który powstał jako taka, powiedziałbym, przeciwwaga dla obrosłej już legendą i przykurzonej Łoży 44 z tymi etatowymi pracownikami, czyli Irkiem i mną. Tak to wyglądało. A poza tym w akademiku bardzo często były spotkania przy herbatce. Niekoniecznie zaraz trzeba było pić piwo czy wino. Przy herbatce też czasami się przegadało. Aczkolwiek lepiej się gadało przy tym piwie jednak. To bardziej było takie rozwojowe, jeżeli chodziło o tematykę. Tak, że tutaj, powiedziałbym, każdy robił tak, jak czuł. Ale niektórzy w ogóle mieli tylko jedno zadanie –skończyć te studia i dostać ten dyplom w garść. Niekórzy mieli już ustawione miejsca pracy, bo brali z tych miejsc stypendia fundowane. Wtedy akurat była reforma administracyjna, powstały nowe województwa. Nowe województwa potrzebowały nowych kadr, budowało się nowe szpitale, wojewódzkie. A jak szpital wojewódzki, to znaczy, że ma być duży. No, a jak duży, to musi tam dużo ludzi pracować. Więc z tych nowych województw szły naprawdę duże pieniądze.

24. Obóz wojskowy

Po studiach, po szóstym roku mieliśmy obóz wojskowy. My, mężczyźni, ponieważ panie kończyły wtedy ten kurs na żołnierza zaliczeniami w trakcie studiów. Natomiast wszyscy zdolni do noszenia broni byli skoszarowani na dwa miesiące w wybranym przez wojsko terenie. I to zwykle byli mężczyźni z kilku Akademii Medycznych, bo wtedy nie było Uniwersytetów [Medycznych], tylko Akademie. Tworzyli jeden obóz, oczywiście wszystko w mundurach tak jak trzeba. To było prawdziwe wojsko, łącznie ze strzelaniem i bieganiem po lasach. Tak, że w ten sposób uczyliśmy się na żołnierzy i oficerów Ludowego Wojska Polskiego. To był okres lipiec –sierpień [19]80 roku. Akurat były strajki w Lublinie, więc zostały wstrzymane przepustki do Lublina. Dlatego potem wszyscy wpisywali miejsce wyjazdu: Lubliniec. Do Lublińca przecież można było jechać. Mało tego, na przełomie lipca i sierpnia zmieniała się kadra. I wtedy też, oczywiście, nie wszyscy mogli do tego Lublina jechać. Niekórzy, ja na przykład, jakoś nie miałem tutaj żadnych interesów, więc nie przyjeżdżałem. Siedziałem tam, czyli w Kielcach, gdzie miałem ten obóz wojskowy. Kiedy zobaczyliśmy na jakiejś zbiórce, że przyszedł nasz dowódca, którego znaliśmy, jako, że wcześniej uczył nas tutaj w Studium Wojskowym, spytaliśmy go: „Panie Pułkowniku, jaka tam sytuacja w Lublinie, co się dzieje” On wtedy popatrzył na nas, a był taki mały: „Powiem wam krótko, sytuacja chujowa, ludzie wkurwione” Tak po prostu był szczerzy. Ale te słowa pamiętam do tej pory, ponieważ to jednak był nasz wykładowca.

Data i miejsce nagrania	2016-10-27, Lublin
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Redakcja	Agnieszka Piasecka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"